



Mirosław Derecki (M.D.)

## EKRAN I WIDZ: DORZYNANIE STACHURY

Na pokazie w lubelskim studenckim DKF „Bariera” obejrzałem zrealizowany w 1982 r. dla TV - i dotąd w telewizji nie prezentowany - film Andrzeja Brzozowskiego „Wszystko jest poezją”. Ten godzinny ni to „dokument”, ni to „esej filmowy” poświęcony jest postaci zmarłego tragicznie przed niespełna czterema laty Edwarda Stachury.

Twórczość „Steda” cieszy się w ostatnich czasach ogromnym i wciąż wzrastającym zainteresowaniem; słusznie ktoś zauważył, że stał się on dla współczesnej młodzieży literackim idolem. Zbiorowa, pięciotomowa edycja utworów poetyckich i prozatorskich Stachury, wydana w ogromnym - jak na ten rodzaj twórczości - nakładzie trzydziestu tysięcy egzemplarzy, rozeszła się błyskawicznie. Pisałem niedawno w „Kamieniu” cośkolwiek na temat pierwszego, „lubelskiego” okresu twórczości poety, nie będę się więc tutaj powtarzał ani odwoływał do lokalnych sentymentów. Muszę natomiast z satysfakcją odnotować, że trud, jaki włożyli lubelscy studenci w zorganizowanie całego „wieczoru Stachury” - nie ograniczono się jedynie do projekcji filmowej, ale poprzedzono ją prelekcją Bogusława Wróblewskiego, redaktora naczelnego lubelskiego „Akcentu”, oraz recitalem piosenek „Steda” - zasługuje na prawdziwe uznanie.

Niestety, film Andrzeja Brzozowskiego, który miał być clou imprezy, okazał się najfatalniejszym kikssem programu.

Edward Stachura nie ma, niestety, szczęścia do swoich teatralnych, telewizyjnych i filmowych piewców. W interpretacji Wojciecha Siemiona - najpierw na deskach warszawskiej „Starej Prochowni”, a następnie na ekranie telewizyjnym - został wykreowany na jakiegoś chłopka-roztropka czy też wsiowego filozofa. Obecnie rozprawił się z nim po swojemu Andrzej Brzozowski.

Za punkt wyjścia filmu „Wszystko jest poezją” wziął reżyser ten moment w życiu poety, kiedy doszedł on do wniosku, że „wypalił się do końca”, że nie ma już nic więcej do zrobienia, do napisania, gdy upadł już na takie dno frustracji i takie dno rozpacz, że targnął się na własne życie.

Pokazanie owego stanu odchodzenia poety od świata żywych, wkraczania - w sposób coraz bardziej zdecydowany i konsekwentny - w dominium Śmierci, jest bez wątpienia

zamierzeniem bardzo ambitnym. Nie mniej interesującym jest pomysł przedstawienia „prawdy o Stachurze” na zasadzie jakby odwijania rolki filmowej „od końca do początku”. A więc - sięgania do coraz odleglejszej retrospektywy, w celu pokazania, co narastało przez lata w duszy bohatera filmu, jak rysowało się i nabrzmiewało to „coś, co w końcu kazało Stachurze położyć się obok toru kolejowego na prowincjonalnej stacyjce i podłożyć prawą dłoń pod koła nadjeżdżającego pociągu. I wreszcie: ciekawe jest założenie reżysera – ukazania, jak niewiele z człowieka, i poety, pozostaje w świadomości i w pamięci osób nawet zupełnie mu bliskich. Nie mówiąc już o owym chirurgu, który operował Stachurę po wypadku i nazwisko Stachury nic mu nie mówiło, a dopiero potem, „od osób trzecich” dowiedział się, że był to znany poeta, prozaik, że... „pisał takie piosenki...” (!) Mój Boże! co za klęska: kilkadziesiąt lat targania się ze sobą, z własną duszą i ciałem, z całym światem, i taki komentarz człowieka, który odcinał ci resztki ręki! Tej ręki, którą pisałeś wszystko, co tak bardzo chciałeś wykrzyczeć przed ludźmi.

Więc pomysł miał Brzozowski znakomity. Chodzi niestety tylko o realizację tego pomysłu..

Poszedł reżyser po linii „reporterskiej drapieźności”. Niczego nam nie oszczędza: ani fotograficznej dokumentacji miejsca wypadku, ani rentgenowskich zdjęć zmiążdżonej dłoni oraz potłuczonej czaszki poety, ani „intelektualnych” jazd kamery po salach i korytarzach szpitala dla psychicznie chorych, gdzie przez pewien czas przebywał po wypadku Stachura. Ani tej wyjątkowo żalosalnej artystycznie, „odtworzonej” sceny z wyjącą karetką pogotowia, w której siedzi ostatnia towarzysząca życia „Steda”, i - na wyciu syreny - opowiada, ona, poetka (!), jak to wieziono Stachurę do szpitala. Rozpaczliwie nudne (choć zapewne w założeniu miały być: „nijakie”) są tasiemcowe relacje „gadających głów”: pokazanych na ekranie „naocznych świadków”, „przyjaciół”, „twórców” oraz „członków rodziny” zmarłego poety. Nie kończące się „przerywniki”, w których kolejni piosenkarze prezentują kolejne piosenki „Steda” - jakby Stachura był jakimś polskim Bobem Dylanem, a nie bogato zróżnicowanym artystą. I dlatego mądrze zrobiła żona Stachury, Zyta Oryszyn, że nie wpuściła filmowców za próg z ich kamerami, lampami, mikrofonami i wszędobylską, nachalną „dociekliwością”. I w efekcie, w zakończeniu „Wszystko jest poezją” -widzimy tylko (słusznie!) zatrzaśnięte na głucho drzwi do mieszkania Edwarda Stachury.

Jest tylko jedna naprawdę porywająca i naprawdę głęboka w swym tragizmie scena w tym filmie: ta chwila, kiedy widzimy na ekranie zeszyt z rzędami pojedynczych literek - jak w zeszytce pierwszoklasisty - z okresu, kiedy „Sted” uczył się pisać lewą ręką. Jak dziecko. Jakby wszystko usiłował zacząć od początku, całe swoje życie, całą swą twórczość. Ale na co ostatecznie nie starczyło mu ani siły, ani odwagi. Lecz jedna scena filmowa nie czyni filmu.

Temat, na jaki się porwał Andrzej Brzozowski, byłby może udźwignął Ingmar Bergman. Brzozowski pokazał jedynie, jak „ambitny” filmowiec może dorznąć prawdziwego poetę...

Pierwodruk: „Kamena”, 1983, nr 12, s. 7.